

Kronika tygodniowa.

W przebiegu obecnej wojny zaszła zupełnie nie spodziewana zmiana, która nawet kronikarza wytrąciła z równowagi i zmusiła do poniekąd zwyczajnego, by uwagi polityczno-strategiczne umieszczać na samym końcu.

Przed niedawnym czasem ukończyła się jedenasta bitwa nad Soczą, bez wybitnych dla obu stron walczących korzyści, co jednak bynajmniej nie wpłynęło depresyjnie na koalicję, uważającą front południowo-zachodni za jedynie odpowiedni do zadania mocarstwom centralnym ostatecznego ciosu. Zapowiedziano też *unbi el orbi* dwunastą bitwę w tym samym odcinku na czas najbliższy, a następstwem jej miało być zajęcie przez Włochów Tryestu, wjazd doń tryumfalny króla Wiktora Emanuela i inne niespodzianki, z góry bardzo głośno reklamowane, które się miały przyczynić do uspokojenia wzbudzonych umysłów we Włoszech, a równocześnie podnieść ich kredyt u sprzymierzeńców. Ułożono już nawet program uroczystości, Annunzio napisał na cześć zwycięzców płomienną odę, Mascagni (jeśli jeszcze żyje...) dorobił do niej muzykę, Marconi miał telegrafem bez drutu rozesłać o tem wieści po całym świecie...

Niespodzianki lubią przecież być niespodziankami, nie też dziwnego, że dzień 31. października 1917 roku zapisze się w historii Włoch głoskami najczarniejszymi z czarnych, nie zaś złotymi, jak ogólnie przypuszczano. Z powodów od redakcyi, ale też i od kierownictwa armii włoskiej niezależnych, pierwotny program uległ gruntownej zmianie, a armia Wiktora Emanuela obrała kierunek wprost przeciwny, niż się spodziewano. Prawdopodobnie dlatego, by przeciwnikowi okazać pogardę i lekceważenie, obrócono się doń plecami, i z energią, ile jej tylko znaleziono w nogach, przekroczone nie tylko Soczę (z lewego brzegu na prawy!...) ale i Tagliamento, kierując się coraz bardziej na południe, prawdopodobnie z powodu zbliżającej się zimy i połączonego z nią ostrego klimatu, na co Włosi są bardzo drażliwi. Z prawdziwie kawalerską uprzejmością odprowadziła armia austriacko-niemiecka swego byłego kolegę z trójprzymierza aż na brzegi Tagliamento, osłaniając jego tyły i broniąc od możliwej napaści ze strony złych ludzi, co umożliwiło Włochom, jak twierdzi komunikat, cofnięcie się w zupełnym porządku i skrócenie frontu. Uronienie przy tej sposobności kilkuset tysięcy ludzi w jeńcach, rannych i zabitych było tylko zręcznym manewrem strategicznym ze strony kierownictwa armii włoskiej, zmniejszyło bowiem kłopoty, w jaki sposób tylu ludzi wyżywić, gdy ów zapowiedziany cudowny wynalazek, mający takim kosztem głód zaspokoić, dotąd jeszcze nie wyszedł ze sfery projektów i obiecań. Niech się teraz wróg stara o to, by ćwierć miliona Włochów miało co jeść...

Wobec tego jednakże król Wiktor Emanuel odwołał swój wyjazd na front, a stąd do Tryestu, aż do czasu, dopóki się sytuacja nie wyjaśni i koniunktury pomyślniej nie ułożą. Annunzio schował poemat do teki, Mascagni układa żałobnego marsza, a zwykły telegraf drutowy rozniósł po świecie wiadomość o tego rodzaju porażce Włochów, iż pogrom pod Gorlicami jest nieczem w porównaniu z nią. Cadorna owo niepowodzenie tak sobie wziął do serca, iż chciał się z rozpaczą powiesić, w pośpiechu użył jednakże w tym celu sznurka sporządzonego z papieru, nie też dziwnego, że zamiar jego nie został pomyślnym uwieczony skutkiem.

Główny to była trzynasta bitwa nad Soczą, nie dziwiłbym się wcale, bo trzynastka zwykle nieszczęście przynosi. Ale Włosi nie mają widocznie szczęścia i do dwunastki. Na trzynastkę będą musieli długo znowu czekać, następna bitwa będzie bowiem pierwszą, ale nad Tagliamento, potem powinna przyjść kolej na Pad i tak dalej.

Koalicja, wobec nieudania się dwunastej włoskiej ofensywy, jest w rozpacz i całą nadzieję pokłada w wujaszku Wilsonie, który, jeden jedyń, mógłby w danym wypadku sytuację uratować. Wyciąga więc doń błagalne dłonie, wołając: „Ratuj!“, ale on stale odpowiada ze spokojem:

— Cierpliwości, moi drodzy! Wielkie rzeczy tworzą się pomału!... Na razie próbujcie sami dać sobie radę, gdyż my dopiero na rok 1919 możemy być z naszymi zbrojeniami gotowi! Zresztą, czegoż chcecie, pozwoliłem już Rooseveltowi na wyjazd na front włoski, to powinno tymczasem wystarczyć!...

— A jeśli nie wystarczy? — pytają zafrasowani.
— To już nie moja w tem wina! — brzmi odpowiedź z Białego Domu, gdzie, jak wiadomo, pan prezydent stale mieszka i skąd zamierza rządzić całym światem.

Pomimo niepowodzeń nie tracą przecież Włosi by-

najmniej fantazyi, jak to widzimy z owej notatki, jaką jedno z pism krakowskich zamieściło z okazji spodziewanych kartek na obuwie. Według niej, jakiś bardzo dowcipny Włoch wpadł na prawdziwie genialny pomysł, w jaki sposób można radykalnie zapobiedz brakowi butów. Należy w tym celu moczyć nogi w rozczynnie kwasu chromowego i to tak długo, aż skóra na nogach stanie się tak twardą i grubą, jak u nosorożca lub hipopotama, przybierając przytem bardzo piękną żółtą barwę, nieczem nie różniącą się od barwy przedwojennych trzewików z prawdziwej skóry chevreau. Kto przyzwyczajony jest do noszenia obuwia zbyt kowatego, może sobie kazać wymalować na złotem tle guziki, albo desenie, przypominające sznurowadła i na tem już koniec. Na tego rodzaju wojenne trzewiki nie trzeba się starać bynajmniej o kartę, uprawniającą do ich nabycia, a zaopatrzeć się w nie można będzie w aptecce lub u chemika, a nie u szewca. To będzie miało i ten dobry skutek, że wobec tego zmiennej panom szewcom rura, gdy się przekonają, iż ludzkość daje sobie bez nich radę. Takie trzewiki i to mają do siebie, że nie trzeba ich zelować, ani łątać, ale jeśli się raz podra, to nikt im już nie poradzi.

Wynalazek, można powiedzieć, epokowy, daleko pożyteczniejszy dla ludzkości, niż ów wynalazek pana Uliviego, również Włocha, który twierdził, że potrafi zapalić miny na największą odległość, nawet tam, gdzie ich niema. Pokazało się przecież, że się niepotrzebnie chwalił, zapomniano też rychło tak o wynalazcy, jak i o jego wynalazku.

Kronikarz jest zdania, że zwłaszcza z owymi wojennymi surogatami butów, sporządzonymi przy pomocy kwasu chromowego, pokopł wynalazca sprawę i zaproponowałby dlań w nagrodę worek z lodem na głowę i synapizmy na łydki. Pierwszy środek ochładza zbyt gorące porywy, drugi ściągając złe humory z górnych regionów.

Zapomniał nadto ów Włoch, iż na obuwie jego pomysłu mogą się tworzyć odciski, co było wykluczone przy dawnym, przedwojennym, a choćby i wojennym o drewnianych podeszwach. Tworzą się one, ale tylko na nodze, jak nas uczy medycyna i jak zgodnie utrzymują fachowcy, trudniący się ich wycinaniem. Szkoda, że nie pomyślał nad tem, w jaki sposób uchronić od nich zwolenników jego systemu. Ale na to ja mu mogę dać radę. Należy amputować odnośnemu osobnikowi obie nogi i zastąpić je protezami lub zwykłymi szcudłami, na których odciski z zasady się nie tworzą.

Skoro już otworzyłem księgę odkryć i wynalazków muszę stwierdzić, iż bardzo pocieszne w niej miejsce zdobyła sobie obecnie krakowska policja, która po nitce idąc do kłębka, natrafiła na liczne pokątne składy naci, naturalnie w krakowskiej dzielnicy milionerów, to jest na Kazimierz. Odkrycie to było nadspodziewane, pokazało się bowiem, że Kraków ma tyle naci, iż wystarczyłoby ich nie tylko dla nas samych, ale i dla obcych. Naci skonfiskowano, ale nie przyczyniło się to bynajmniej do pojawienia się ich w handlu. Prawdopodobnie znowu je zagarnęła w ręce jakaś Centrala.

Także z tajnymi fabrykami mydła poszło policji, jak po masle, prawdopodobnie z tego powodu, iż właśnie masła, a nie innego tłuszczu używano do jego wyrobu. Takich fabryk, w różnych dzielnicach „odkryto“ kilkanaście. I są jeszcze ludzie, którzy śmiało twierdzą, że Kraków jest brudnym miastem. Gdyby tak miało być w samej rzeczy, czy staranoby się tak usilnie o mydło?... Teraz dopiero widzimy, co było powodem braku masła na targach. Wykupowali je spekulanci po wysokich cenach, by przerabiać potem na mydło.

Czytając o tem, niejeden z Czytelników z pewnością się oburzy na niesumienność niektórych jednostek, ale pocichu powie sobie, że warto byłoby może i u siebie spróbować. Bo Katonów jest u nas wielu, ale tylko wobec innych, a nie wobec siebie.

Bardzo piękny przykład prawdziwie obywatelskiego pojmowania obowiązków jednostki wobec ogółu dał pewien jegomość z okazji dnia Zadusznego. Jak wiadomo, z powodu prawie zupełnego braku tłuszczów, a zatem i świec, wydały władze rozporządzenie, zakazujące oświetlania grobów w tym roku. Przeważna część mieszkańców miasta zastosowała się do tego, byli jednak i tacy, którzy powiedzieli sobie, że muszą tradycyi dochować i zaświecili, bodaj po jednym ogarku.

O tem rozmawiało w wozie tramwajowym kilku znajomych. Szczególniej jeden z nich oburzał się na to nieszanowanie przepisów przez Krakowian, rzucał na nich gromy, stawiał za przykład inne społeczeństwa.

— Już to nasza publika nie nauczy się nigdy porządku! — zakończył sentencyjnie — Ja tego po prostu pojąć nie mogę!... Władza wydaje rozporządzenie, jak więc nie zastosować się do niego. To święty obowiązek każdego uczciwego człowieka!...

Odsapnął, zaprzęgnię z oburzenia, a tymczasem sąsiad odezwał się doń w te słowa:

— To też policja pilnie na to baczyła, na którym grobie się świeci i prawdopodobnie pociągnie do odpowiedzialności winnych!

— Kogo?... Nieboszczyków?

— No... Ich nie, ale najbliższych krewnych, o których się wie, iż się opiekują ich grobami...

— Tak pan sądzi?

— Nie tylko sądzę, ale jestem nawet pewny! Byłem na cmentarzu krakowskim i rozmawiałem o tem z jednym z komisarzy policji. Potwierdził, że tak jest w istocie!

— A jak pan myśli?... Czy na zwierzyńskim cmentarzu kontrolowano także oświetlenie grobów?

— Myślę, że także!... Widziałem wracającego stamtąd komisarza!...

— To źle!... Dowidzenia!...

— Już pan wysiada?... Miał pan przecież jechać aż na Podgórze?...

— Tak!... Ale, bo widzi pan, to oświetlenie grobów zabiło mi klina w głowę!... Muszę pójść na policję, by się dowiedzieć, czy przypadkowo nie zapisało i mnie!...

— Więc pan grób oświetlił?

— Cóż było robić?... Przecież to taki zwyczaj!

— A tak się pan oburzał na tych, którzy nie stosują się do rozporządzenia władzy!...

— No!... Tak się to tylko mówi! Zresztą ja nie siebie, tylko innych miałem wówczas na myśli!... Któż bowiem mógł się spodziewać, że policja zawadzi i o cmentarz zwierzyński. Krakowski, to zupełnie co innego!...

— Jedno i to samo, panie kochany!... I tu i tam spoczywają tylko posłuszni wyborcy, którym za takie lekceważenie wydanych przez władzę przepisów, może być bardzo łatwo odebrane prawo głosu przy najbliższych wyborach!...

Jegomość ów nie czekał już końca wywodów złośliwie uśmiechającego się sąsiada, wyskoczył z tramwaju i skierował się prościusieńko w stronę Zacisza.

O mały włos, a byłby się sam dostał pod opiekunkę skrzydła władzy bezpieczeństwa, która teraz pilnie baczy na to, by pasażerowie nie wyskakiwali z wozów tramwajowych, gdy one są w ruchu. Zarządzenie bardzo słusne i zupełnie na czasie, zwłaszcza dziś, gdy wypadki z tego powodu tak się mnożą, iż Krakowowi może grozić wyludnienie.

Powtarza się tutaj jednak to samo, co wyżej. Ci, co wyrażają swe oburzenie, gdy się dowiedzą, że ktoś z wozu wyskoczył i poniósł przy tej sposobności szwank na zdrowiu (jeśli mu się nie stało, milecz!...), sami robią z zasady to samo, ilekroć im tylko tego potrzeba.

Bohater niniejszego opowiadania miał szczęście, w bliskości nie było stójkowego!...

Natomiast bardzo naiwnie odpowiedziała stróżowi porządku publicznego pewna paniuszka, której również nie chciało się zaczekać, aż się wóz zatrzyma. Działo się to obok kościoła Panny Maryi przed kilku dniami. Wyskakując lekko, jak sarenka, przytrzymał policjant, by zanotować jej nazwisko. Naturalnie oburzyła się ogromnie i zawołała:

— Także coś!... Ciekawa jestem, dlaczego mi nie wolno wyskoczyć, kiedy mi się chce?... Przecież to ja nogi sobie połamię, a nie pan!...

To są jej *ipsissima verba*, powtórzone mi przez naoczego świadka. Co zaś najważniejsze, że w gronie gapiącej się publiczności, zauważono kilka osób, znanych Katonów, którzy gotowi się byli ująć za rzekomo po krzywdzoną.

Ale bo u nas to tak już jest z reguły. W każdym Krakowianinie siedzi mniejszy lub większy dyablik opozycyjny i wystawia rogi nieraz nawet wtedy, gdy tego nie potrzeba. Czyn nie zawsze idzie w parze z myślami i potem się tego żałuje, ale nieraz po-niewczasie.

Mamy tę zresztą naturę, że lubimy się wygadać, choć nie zawsze w porę... Znałem jednego z radców miejskich, który cieszył się u ogółu opinią znakomitego mowcy, zabierał też głos zawsze i wszędzie i o wszystkim, choć się na tem nawet nie znał. Jemu było wszystko jedno, o czem się mówi, o aprowizacji, czy o sztuce, potrafił zawsze wturcić swoje trzy grosze.

— Ten człowiek widocznie zna się na wszystkim! — mówiono ogólnie.

— Co to, to nie! — brzmiała odpowiedź jakiegoś złośliwca — Ale bodaj tutaj chce się wygadać, gdyż w domu żona nie dopuszcza go z zasady do głosu... A on tego dla zdrowia potrzebuje!

I ani się spostrzegłem, a tu już miejsca brak na różne ważne rzeczy, które miałem ochotę omówić. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze, resztę zostawiam więc do przyszłego tygodnia. Miałem przedewszystkiem poświęcić słów parę oświetleniu miasta, od tego więc prawdopodobnie zacząć, chyba, gdyby inaczej okoliczności się złożyły.

Ale zobaczmy!...